

Człowiek Becketta

665
Z IRENĄ JUN, aktorką warszawskiego Teatru „Studio”,
rozmawia MAŁGORZATA KROCZYŃSKA

— Od lat niezmiennie związana jest Pani z Teatrem „Studio”...

— ...bo jestem całkowitą monogamistką.

— Ale do monogamii może skłaniać albo miłość, albo po prostu przyzwyczajenie. Jak jest w Pani przypadku?

— Tak się złożyło, że najpierw w „Studio” tworzył Józef Szajna, z którym byłam długie lata związana, grałam w jego najwybitniejszych inscenizacjach. Potem objawił się Jerzy Grzegorzewski, z którym pracowałam niezmiennie mnie interesowała i interesuje nadal. To ufać mi to wierność. Ale równocześnie jest w tym jakieś pragnienie harmonii w życiu, poczucia, że dokonany wybór ma głęboki sens i ja swoją wiernością tej formule teatru chcę sobie to udowodnić.

— To przecież jednak specyficzna formuła, daleka od teatru aktorskiego, stawiająca raczej na zespół. A przecież chyba każdy aktor chce mieć wyłącznie swoją publiczność, chce się podobać. Czy Pani nigdy nie marzyła o takiej masowej popularności?

— Tak mówiąc w tajemnicy, pragnę tego. Jednak nie za wszelką cenę. Wierzę, choć może to tylko złuda, że i aktorskie ambicje, i pragnienie popularności można też zaspokoić w trudnym, ambitnym teatrze.

— Czy monodram, a więc teatr jednego aktora, który także od lat Pani uprawia i to z sukcesami, nie był właśnie antidotum na pracę zespołową?

— Takie tłumaczenie byłoby zbyt proste. A chodzi o coś więcej, o chęć znalezienia miejsca w teatrze, który zależy tylko ode mnie. Aktor w monodramie stara się za wszelką cenę pozyskać publiczność, ale inaczej niż w tradycyjnym spektaklu. Monodram to forma oparta na współnocie widza i aktora. Widz jest częścią inscenizacji. Ja muszę wymyślić dla niego zadanie, on nie może mnie tylko oglądać jak przez szklaną szybę.

— I zawsze udaje się Pani ten zamiar zrealizować?

— Bardzo się o to staram, ale to zależy od publiczności. Czy ona zechce podzielić moje emocje, wejść w mój świat i przyznać mi rację.

— Oprócz wspólnoty widza i aktora jest także wspólnota aktora i aktora. O niej mówiła Pani na spotkaniu z poetką opołąki Ireny Wyczółkowskiej.

— To zdarza się bardzo rzadko. Czytuję poezję w radiu, bywam zapraszana jako recytator na wieczory autorskie, ale rzadko popadam w takie poczucie wspólnoty. Zresztą normalny, że tak powiem, czytelnik czy słuchacz nie jest w stanie sobie wyobrazić tego, czym jest kontakt aktora z wierszem. To jakby próba utożsamienia się z autorem.

— Czy Pani fascynacja Norwidem również opiera się na takich relacjach?

— To już jest inna sytuacja. Z nim nie mogę się utożsamiać. Ale choć jestem kobietą, chociaż czasy są inne, inną jest poznanie Norwida, wciąż mi się wydaje, że jestem w stanie tak jakby walczyć o niego z ludźmi, którzy mnie słuchają. Chcę, żeby został zrozumiany i to po mojemu. A ja, choć może zabrzmi to nieskromnie, sądzę, że właśnie rozumiem go po... norwidowemu, dochodzę do tego wyższego stopnia wtajemniczenia. Tak, Norwid mnie bardzo interesuje, ale ja w ogóle stoję blisko poezji.

— I blisko poetów. Obok Norwida wśród Pani poetyckich propozycji recitalowych jest także, od kilku lat należąca do grona preferyentów do literackiej Nagrody Nobla, Wisława Szymborska.

— Miałam nawet ten zaszczyt, że spotkałyśmy się na wspólnym wieczorze. Byłam szczęśliwa, że mogę wykonywać jej wiersze przy jej aprobacie i serdeczności. Teraz pracuję nad Leśmianem. Nie chciałabym jednak epatować czytelników ilością moich propozycji.

— Najnowszą jest monodram o party na poezji K. K. Baczyńskiego.

— Kiedyś mówiłam wiersze Ba-

czyńskiego. Miałam na przykład recytować jego poezję na Kłodzkiej Wiosnie Poetyckiej. Ale to było w latach czterdziestych i chyba tylko najstarsi ludzie pamiętają, że w ogóle była taka impreza. W tym roku przyszło jednak zamówienie z Londynu na 50. rocznicę powstania. I okazało się, że w jakiś sposób pokolenie Baczyńskiego jest mi bliskie, pojawiła się chęć przybliżenia tej poezji dzisiaj. Nie fascynacji nią samą, jej metaforą czy literackim znaczeniem. Pomyślałam tylko, że jeszcze jestem tym pokoleniem, które może dotknąć doświadczeń tamtych czasów i mam moralny obowiązek je przekazać. Może uda mi się Baczyńskiego kiedyś pokazać w Opolu. To właściwie nie jest monodram, bo występuję z moją córką, która mi towarzyszy jako skrzyżkaczka.

— Mówiąc o Pani zawodowej drodze nie sposób zapomnieć o rolach beckettowskich w słynnych przedstawieniach Antoniego Libery. Świątowa Towarzystwo Beckettowskie wymienia Panią wśród ośmiu najlepszych odtwórczyń bohaterek dramatów Samuela Becketta. Pani sama powiedziała kiedyś, że praca nad jego tekstami była wydarzeniem przełomowym w Pani zawodowych doświadczeniach. Czy i dziś podtrzymuje Pani to przekonanie?

— O, tak, naturalnie. Wciąż mam zresztą w planach przygotowanie nowej pozycji Beckettowskiej. Jeżeli mówię, że był to przełom w moim życiu aktorskim, to nie dlatego, że odniosłam sukces, choć tak to trzeba nazwać ku mojej radości. Aktorzy nie piszą doktoratów i w zasadzie mają skromną możliwość intelektualnego rozwoju. Każdy autor jest więc dla nich taką stacją w życiu, na której wsiadają na krótko. A w miejscowości „Beckett” zostaje się na dłużej. Bo on mówi tak ważne rzeczy o człowieku, a więc i o mnie, o każdym z nas. Ja to biorę od Becketta i niosę w swoją drogę. Sama staję się kimś z jego ludzi.

— Dziękuję za rozmowę.